№ 17. Warszawa, dnia 12 (24) Kwietnia 1886 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

ELEKTRO-BIOLOGIA.

Stany Zjednoczone mocno się zajmują obecnie, nową nauką noszącą nazwę *Elektro-biologii.* Sama nauka nie jest właściwie nową, ale jest-to nowe zastosowanie prądów elektrycznych, dotąd nie wiele znanych. Zastosowania te, otrzymują tak ciekawe rezultaty, że w niedługim czasie mogą zrewolucyonować, nie akademie, bo te uważają sobie za punkt honoru nie dziwić się niczemu, ale salony, którym zapewnią seryą fenomenów, przynajmniej tyle zajmujących, a w każdym razie prawdziwszych jak wirowanie stolików. Wszyscy już prawie w Ameryce, znają i zajmują się tym nowym wynalazkiem. Elektro-biologia, jest obserwacyą fenomenów, które się objawiają w organizmie ludzkim, skoro ten jest poddany połączonemu działaniu elektryczności mineralnej i zwierzęcej. Połączenie tych dwóch sił, sprowadza fenomena magnetyczne nadzwyczaj ciekawe. Środki potrzebne do otrzymania tych rezultatów są tak proste, jak i dla każdego przystępne. Umieszcza się osobę, mającą być magnetyzowaną na wygodnem krześle, daje jej się w rękę krążek, złożony z miedzi i cynku i poleca się ażeby nie rozpraszając uwagi na inne otaczające ją przedmioty, skupiła ją całą na ten krążek, przynajmniej przez 15 do 20 minut. U tak przygotowanego medyum, wrażliwość magnetyczna podnosi się do najwyższego stopnia. Wtedy magnetyzujący dotyka medyum pręcikiem metalowym i tylko przez natężenie woli tak staje się panem jego nerwów, iż te są mu bezwarunkowo posłuszne. I tak magnetyzer mówi: „Zamknij oczy". Medyum jest posłusznem. Kto inny mu każe je otworzyć, roztwiera gwałtem powieki, napróżno. Wola magnetyczna zastąpiła wolę medyum; które pomimo wszelkich usiłowań nie może otworzyć oczu, dopóki despotyczny pręcik na to nie zezwoli; potrzeba także zwrócić uwagę, że to wszystko się odbywa *bez* poprzedniego usypiania i pociągań magnetycznych.

Inny przykład: magnetyzujący każe której z osób jąkać się, i ta musi chcąc nie chcąc go słuchać.

Gdy jej każe chromać, być niemą lub głuchą, bezwzględnie musi ulegać jego woli, ale jeżeli jest wrażliwą na wpływ magnetyzmu, nie wszyscy bowiem mają jednakie usposobienie.

Jeszcze inne przykłady: Skoro magnetyzér położy pręcik na guzie (bosse) dobroci; wtejże chwili medyum przybiera wyraz o ile może być najuprzejmiejszy.

Wzrok jego łagodnieje, usta układają się do miłego uśmiechu, słowem twarz cała w najwymowniejszy sposób wyraża dobroć. Jeżeli pręcik dotknie guzów łakomstwa, pychy, złości, taż sama twarz wyrażać będzie kolejno wyżej wspomniane wady.

Doktor X. człowiek rzadkiej inteligencyi, zaczerpnął z obserwowania tych fenomenów, któreby można nazwać *frenologiczno magnetyczne,* myśl ażeby je zastosować, jako mogące wywrzeć zbawienny wpływ na moralną organizacyą człowieka. Wynalazł on obecnie w New-Yorku, instrument, za pomocą którego, można otrzymać dokładną topografią czaszki ludzkiej i który ze ścisłością matematyczną, daje sumę wszelkich władz umysłowych. I tak np. biorąc za normę cyfrę 20. Instrument po zbadaniu trzech guzów: pychy, dobroci i muzyki, da przypuszczam:

Dobroć 10.
Muzyka 15.
Pycha 5.

Można więc będzie wnioskować, że indywidyum poddane egzaminowi, jest lub może być bardzo dobrym muzykiem i że ma o jedną trzecią mniej dobroci w charakterze, a o dwie trzecie mniej pychy niżeli usposobienia do muzyki. W taki więc sposób, można sporządzić dokładny bilans władz intelektualnych każdego.

Na przyszłość hipokryci, skąpcy i oszczercy

i w ogóle wszyscy ludzie, mający jakieś złe myśli lub namiętności, będą mieli tylko jeden sposób zapobiegający ich poznaniu... muszą nosić peruki. Cudowny instrument amerykańskiego doktora, nie mógł być przyjętym bez opozycyi. Od chwili ukazania się swego miał on tak jak każda nowość na świecie, swoich stronników i swoich przeciwników. Tych ostatnich jednak bez porównania więcej. Od słowa do słowa, dwa te stronnictwa przeszły do gwałtownych z sobą dyskusyi. Zostali jednak pogodzeni, przez samego doktora, który zaproponował, ażeby poddać jego wynalazek publicznemu egzaminowi, przed wydelegowaną na ten cel komisyą i na wskazanych przez nią osobach. Projekt przyjęty został z zapałem i w obydwóch stronnictwach poczyniono zakłady, za i przeciwko instrumentowi, dochodzące do 70 tysięcy dolarów. W dniu oznaczonym, doktor choć przekonany o dokładności swego instrumentu, z biciem serca jednakże oczekiwał swoich gości. Oni ryzykowali tylko pieniądze, ale on... kładł na szalę całą swoją przyszłość i opinią. Spojrzał na zegar, była godzina dwunasta. Komisya miała przybyć o pierwszej. Miał więc czas raz jeszcze obejrzyć swój instrument i przekonać się czy wszystkie jego części były w porządku. Wyjął go z pudełka wysłanego aksamitem i zaczął szczegółowo oglądać.

W tejże chwili elegancka kareta zatrzymała się przed jego drzwiami i odezwał się dzwonek gwałtownie pociągnięty.

— Ktoś chce się z tobą widzieć. — Oznajmiła wchodząc pani X.

— Któż to taki?

— Nie wiem. Lokaj w liberyi przyszedł się spytać, czy przyjmujesz.

— W liberyi? — powtórzył doktor zdziwiony.

W Stanach Zjednoczonych używanie liberyi wzbronione jest prawnie, ponieważ razi uczucia równości, wielkiej Rzeczypospolitej.

— Któż to może być? Dziś, nie mogę już przecież przyjąć nikogo.

— Cóż mam odpowiedzieć?

— Co chcesz, powiedz... żem zajęty... słaby... albo że mnie nie ma w domu. Zresztą daj wymówkę jaka ci się będzie podobać.

— A jeżeli to jaki bogaty Anglik? Tym sposobem stracisz klienta.

— Masz racyą. Spytaj się kto to taki?

Żona doktora wyszła i po chwili wróciła mówiąc z zadowoleniem:

— To lord G.

Lord G. był bogatym anglikiem, mającym 40 tysięcy funtów dochodu i znanym ze swej sympatyi dla wszystkich artystów i wynalazców. Przed kilkoma miesiącami zwiedzał jako turysta Stany Zjednoczone i wszędzie pozostawił po sobie miłe wspomnienie.

— Tam do licha! lord G... no... to... gdybym się nie spodziewał komisyi! — Takie wykrzykniki wyrwały się z ust doktora.

— Komisya ma przyjść o pierwszej, a jest dopiero 10 minut po dwunastej; możesz więc bezpiecznie przyjąć milorda — odpowiedziała żona.

— A więc... dobrze! — zawołał po chwilowym namyśle doktor — może to właśnie, zrządzenie Opatrzności, zesłana fortuna, wchodzi mi w ręce w tej chwili. Poproszę lorda G. ażeby był obecny moim doświadczeniom.

W kilka chwil potem, dwóch wygalonowanych lokai stąpając jak automaty, wprowadzało do gabinetu doktora, grubego, czerwonego człowieczka, któremu ich pomoc zastępowała sparaliżowaną nogę.

— Pan jesteś doktorem X? — zapytał wchodząc lord G.

— Do usług, milordzie.

— Wynalazłeś pan, jak mi mówiono, jakiś cudowny instrument?

— Przynajmniej dobry, o ile mi się zdaje. — Odpowiedział skromnie doktor.

— Czy możesz mi go pan pokazać?

— Natychmiast, jeżeli sobie milord życzy.

I doktor wyjąwszy instrument z pudełka, zaczął tłomaczyć jego własności, istotnie zastanawiające swoją prostotą.

— Ależ to doprawdy cudowne — zawołał lord G. — i czyś pan zupełnie pewny, że się nigdy nie omylisz?

— Jak najzupełniej pewny i jeżeli milord zrobi mi zaszczyt być obecnym na próbie, która ma się odbyć dziś właśnie w obec wydelegowanej tu komisyi, to sam się przekona...

— Dobrze — przerwał lord G. — lecz wolałbym...

— Cóż takiego?

— Ażebyś pan zrobił swoje doświadczenie na mnie.

— Jakto? chciałbyś się milord poddać...

— Tak, oto moja głowa, zaczynaj pan. Nie znasz mego charakteru, ja zaś znam się doskonale; będę więc mógł osądzić czy pański instrument myli się czy nie?

— Bardzo chętnie — odpowiedział doktor. — Żałuję tylko, że nie mogę odbyć tej próby dzisiaj ponieważ oczekuję członków tej komisyi, o której wspomniałem właśnie, a ponieważ są zakłady porobione...

— Wiem, wiem, ogromne... ale masz pan jeszcze pół godziny czasu. Czyż to nie dosyć?

— Owszem... ale...

— Dziś albo nigdy — odpowiedział cokolwiek szorstko lord G. — Dziś jestem pewny, że zastaję pana nieprzygotowanego. Jutro mógłbyś powziąć różne wiadomości tyczące się mnie... nie byłoby więc to samo.

Doktor zrozumiał siłę zarzutu, a że nie chciał zniechęcać sobie możnego protektora, wziął do ręki instrument.

— Kto będzie zapisywał cyfry? — zapytał.

— Jeden z moich służących, John, jest bardzo zdolny, i czasami zastępuje nawet mego sekretarza. John, przybliż się i zapisuj wszystko, co doktor będzie mówił.

John, który stał przy drzwiach wyprostowany, zbliżył się na wezwanie swego pana i usiadł przy małym stoliczku. Doświadczenie się zaczęło. Guz dobroci, który, jak każdy wie znajduje się wyżej czoła, pokazał cyfrę bardzo małą, co zdziwiło doktora. Guzy zdolności intelektualnych, były także mało rozwinięte. Po kilku chwilach doktor krzyknął.

— Cóż to takiego? — spytał lord G.

— Milordzie, wasza wysokość, ma, jak my to nazywamy *l'acquisivité*, to jest chęć przywłaszczania sobie... nabywania, dziwnie, że tak powiem szczególnie rozwiniętą.

Milord się uśmiechnął.

— Wcale nie źle, doktorze, lubię rzeczywiście nabywać... Gram dużo na giełdzie — dodał po chwili — proszę nie zatrzymuj się pan.

Doktor obliczał dalej i zdawał się coraz więcej zajęty rezultatami swej próby. Dyktował Johnowi już tylko same cyfry, nie mówiąc żadnych słów. Nagle, zatrzymał się i krzyknął głośno.

— Co panu jest? — Zapytał milord.

Doktor nie odpowiedział, tylko wziąwszy instrument zamknął go napowrót w futerale.

— Czy to już koniec?... No więc cóż mówi geografia mojej głowy? Dlaczego milczysz, doktorze; czy już zupełnie skończone?

— Nie, nie zupełnie, milordzie, ale już nie mogę ciągnąć dalej. Mój instrument jest widocznie zupełnie popsuty. Otrzymuję całkiem fałszywe rezultaty.

— To źle. Jużeś pan więc zwątpił?... zły znak! Powiedz mi jednakże co znaczą te wszystkie cyfry, któreś kazał zapisywać Johnowi?

— Przebacz milordzie, że nie mogę tego uczynić, te cyfry wykazują same niedorzeczności.

— Mów pan, cóż to szkodzi, potem poprawimy co będzie złego.

— Kiedy, milordzie, koniecznie tego wymagasz, to muszę cię uprzedzić, że egzamin jego głowy tak mnie zadziwił... znajduję niektóre organa tak rozwinięte, inne znów tak mało, szczególniej organ poszanowania cudzej własności, że gdybym nie wiedział w obec kogo się znajduję, myślałbym, że mam do czynienia z największym... — doktor się zawahał...

— Z największym?...

— No, z największym złodziejem, jaki jest pod słońcem.

— Oh! — zawołał milord.

W tejże chwili głośne „hurra" dało się słyszeć w przyległym pokoju i cała komisya śmiejąc się i klaszcząc w ręce, wpadła do gabinetu doktora.

— Masz słuszność! jesteś wielkim człowiekiem! Wołali otaczając go dokoła.

— Co to znaczy? Co wy mówicie?!

— Znaczy to — wyrzekł jeden z nich, wskazując na lorda G. — że to jest Walter Wood, największy złodziej wcałych Stanach Zjednoczonych. Któremu kazaliśmy odegrać rolę wielkiego pana, dla lepszego udania się próby.

— Jakto? więc to doprawdy złodziej?! — zawołał doktor sam zdziwiony swojem powodzeniem.

— Ależ tak jest; niech ci to poświadczą dwaj policyanci, których przebraliśmy za lokai, ażeby mogli łatwiej nie spuszczać z oczu swego więźnia.

— W samej rzeczy — odpowiedział John, kładąc bez ceremonii rękę na ramieniu swego pana — i z pomocą mego kolegi, odprowadzimy tego ptaszka do więzienia, bo mógłby nam tu spłatać jeszcze jakiego figla.

Przyjaciele doktora wygrali 70 tysięcy dolarów i wszystkich bardzo ubawiła ta przygoda, tych nawet, którzy musieli zapłacić swoją przegranę. Jak prawdziwi bowiem Amerykanie, zadowoleni byli, że w ich ojczyznie uczyniony był nowy krok w nauce dotąd tak mało znanej.

Z angielskiego tłomaczyła

E. Franklin.

Trzy prośby.

Do p. J. G.

Podaj mi rękę,
Aniele mój!
Niech życia mękę,
I ból i znój,

Chociaż na chwilę, kiedym przy tobie,
Przytłumię w sobie!

Ja cierpię wiele,
Bo kocham cię,
O mój aniele,
Poprowadź mnie!
Oddal ode mnie zwątpienia marę,
Wlej w serce wiarę!

Ciemno na ziemi,
Ponury świat,
Snami złudnemi,
Nie przeżyć lat.
Daleka droga, nie widać zdroju,
Duch w niepokoju!

W sercu szaleje,
Dum tęsknych rój,
Daj mi nadzieję,
Aniele mój!
Niech się nadzieją dusza ukoi,
Niech śni i roi!

W tobie świat cały,
W tobie mój raj!
Aniele biały,
Serce mi daj!

Jowita.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Dalszy ciąg.)

— Panie — rzekła z powagą i pewnem wzruszeniem — uważam sobie za obowiązek powiedzieć mu, aby natychmiast posłać po mego wuja.

Pnn de Vandricourt zwrócił na nią pytające spojrzenie, poczem bolesny krzyk wydarł się z jego piersi i rozpaczliwie załamał ręce. W tejże chwili wydał rozkaz służącemu, który pędem pobiegł do stajni.

Pan de Vandricourt zwrócił się do proboszcza, mówiąc:

— Proszę chciej pójść za mną, księżę proboszczu, tylko pozwól mi uprzedzić żonę.

Proboszcz skłonił się w milczeniu.

Bernard wszedł do pokoju Aliety. Leżała na szeslongu i zdawała się drzemać; jednak gdy mąż wszedł, otworzyła oczy.

— Droga moja — rzekł biorąc jej rękę, której mu nie usunęła — połajałem twoją starą Wiktoryę... doprawdy głowę traci... Pomimo wyraźnych uspokajających zapewnień doktorów, tak przeraziła się tem, że dziś jesteś więcej cierpiąca, że zawezwała naszego proboszcza... czy chcesz go przyjąć?

— Proszę cię o to. — Westchnąwszy ciężko, utkwiła w męża wielkie swoje oczy, wyrażające tak przenikającą boleść, iż uczuł, że szpik lodem ścina się w jego kościach.

Nie mógł się powstrzymać od zapytania jej z najgłębszem wzruszeniem:

— Czy nie kochasz mnie już, Alieto?

— Zawsze! zawsze! — szepnęła biedna kobieta.

Pochyliwszy się, złożył na jej czole długi pocałunek. Zdawała się mocno zdziwiona zobaczywszy łzy spadające z oczu męża.

Podszedł ku drzwiom, skinął na oczekującego księdza i wyszedł z pokoju.

Przez straszne jak śmierć pół godziny, pan de Vandricourt chodził po wielkim salonie pałacowym, co chwila zatrzymując się przy oknie wychodzącem na dziedziniec. Panna Tallevant, bardzo blada i milcząca, siedziała przy gerydonie, z głową wspartą na ręku. Niespokojny i wzruszony niewymownie, Bernard wymawiał niekiedy przerywane, bezładne frazesy.

— Nie!... to niepodobna... cóż byłoby powodem jej śmierci?... To istny grom!... Nie! nie! to niepodobna!...

— Czekajmy co wuj powie — odpowiadała Sabina.

Zgodnie z wydanym przez niego rozkazem, dano mu znać, że ksiądz już odszedł. Udał się tam natychmiast, Sabina poszła za nim. Bardzo zamyślona, Alieta nie zdawała się ich widzieć. Przyjęła jednak podawane przez męża lekarstwo. Wiktorya zawiadomiła Bernarda, że na prośbę chorej, proboszcz ma jeszcze powrócić wieczorem udzielić jej świętych Sakramentów.

Doktor Tallevant przybył około siódmej. Jak tylko spojrzał na Alietę, po twarzy jego przemknął się nagły wyraz osłupienia. Lecz prędko odzyskując moc nad sobą i właściwy doktorom spokój, podniósł zimną rękę Aliety, dotknął słabo zaledwie bijącego pulsu; wpatrzył się chwilę w jej twarz zmienioną i zamglone oczy i łagodnie, jakby mówił do dziecka, szepnął jej parę słów pociechy.

Wyprowadził Bernarda do przyległego buduaru i rzekł, silnie ściskając dłoń jego:

— Przebacz pan... Straszną rzecz mam ci zwiastować... zawiodła mnie nędzna nauka moja... a obecnie jest już bezwładną... żona twoja umiera.

Rozpaczliwy krzyk rozległ się w pokoju i zaraz po nim głośne łkanie... Pan de Vandricourt wybiegł oszalały z pokoju...

Alieta umarła!...

Po pierwszej godzinie osłupienia i szalonej rozpaczy, pan de Vandricourt wychodząc z rodzaju obłędu w jakim pogrążyła go katastrofa tak nagła i niespodziewana, zapytał nagle doktora:

— Ale z czegóż ona umarła?

— Na paraliż serca i pan Tallevant wyjaśnił mu po krótce, że w cierpieniach anemicznych następuje niekiedy tak nieszczęśliwy koniec, ale są to wypadki tak nadzwyczaj rzadkie i wyjątkowe, iż wszelkie przepisy nauki przewidzieć ich nie dozwalają. Dodał jednak, iż do końca życia wyrzucać sobie będzie, iż tu gdzie chodziło o tak drogie życie i zdrowie, nie brał w rachubę nawet nieprawdopodobieństwa, nawet niemożliwości.

O jedenastej wieczorem, doktor Tallevant i siostrzenica jego pożegnali Bernarda. Powóz czekał na nich przed peronem. Zatopieni w myślach, dojechali do La Saulaye nie zamieniwszy z sobą ani słówka. Powóz potoczył się głucho około posępnego stawu i wysiedli przed drzwiami domu.

VIII.

Wedle codziennego zwyczaju, pan Tallevant odprowadził siostrzenicę do drzwi jej pokoju, pocałował ją w czoło, ścisnął za rękę i poszedł do swego pokoju.

Może w półtory godziny potem, mniemając, że Sabina już śpi, doktor Tallevant, który nie rozbierał się nawet, wyszedłszy jak najciszej ze swego pokoju, przeszedł ua palcach długi korytarz i zszedł ze schodów. Padające na twarz jego światło stoczka, który niósł w ręku, padało na bladą, dziwnie zmienioną i wyciągniętą twarz jego. Wszedł do wielkiego pokoju na parterze, służącemu zarazem za salon i bibliotekę i rozsunąwszy ciężką portierę, przeszedł do swego laboratoryum. Tu zwrócił się wprost do szafki stojącej w rogu pokoju, w której przechowywał najniebezpieczniejsze preparacye, potrzebne mu do lekarstw lub do doświadczeń dokonywanych w laboratoryum. Szafka ta zamykała się na zamek nieposiadający klucza; chcąc go otworzyć, trzeba było być wtajemniczonym w tajemną jego maszyneryę. Przycisnąwszy sprężynę, otworzył zamek, ale zawahał się parę sekund przed otworzeniem drzwiczek, nareszcie odepchnął je gwałtownym, gorączkowym ruchem. W tejże chwili blada twarz jego posiniała, za pierwszym rzutem oka dostrzegł opróżnione miejsce w szeregu flaszeczek stojących na najwyższej półeczce i jednocześnie z ust jego wykrzywionych konwulsyjnie wymknął się wyraz tchnieniem prawie wyszeptany:

— Tojad!... (Aconit).

Wtem nagle zdało mu się, że szmer jakiś dosłyszał w pobliżu, zgasił stoczek i nadstawił uszu. Po upływie kilku minut, usłyszał wyraźnie lekki chód i szelest sukni w przyległym pokoju. Czekał, prędko przysunąwszy się do drzwi. Noc była pogodna, księżyc roztaczał srebrzyste swe światło i bladawe jego promienie przedzierały się do laboratoryum przez okna wychodzące na ogród. Portiera podniosła się, Sabina stanęła we drzwiach i w tejże sekundzie ręka doktora Tallevant padła na ramię jego wychowanicy.

Sabina wydała krzyk przytłumiony i w pierwszej chwili zmieszania czy przestraszona, puściła trzymany w ręku flakonik, który padł na kamienną posadzkę, a sama odskoczyła w tył i znalazła się w przyległym pokoju. Zatrzymała się nagle przy wielkim stole, stojącym na środku pokoju i wsparta o niego ręką, stała wprost nadchodzącego opiekuna.

Zarówno jak okna laboratoryum, tak i okna biblioteki wychodziły na ogród i nie miały okienic; wpadający przez szyby odblask księżyca, pół światło roztaczał w pokoju. Pan Tallevant mógł więc wyczytać w oczach i twarzy Sabiny, wyraz dzikiego, wyzywającego zuchwalstwa.

— A! nieszczęsna!—zawołał głuchym głosem—brońże się przynajmniej!... Powiedz żeś się omyliła... tojad używa się także jako lekarstwo... widziałaś, że i ja uciekałem się niekiedy do niego... Zawiniłaś nierozwagą... nieostrożnością... i obawiałaś się moich wyrzutów... I dlatego ukrywałaś się. Ah! mówże to...

— I po cóż? — odpowiedziała z pogardliwym ruchem ręki, nie uwierzyłbyś mi... jak i własnym nie wierzysz słowom!

Nieszczęśliwy opadł bezsilnie na fotel na którym zasiadał do pracy i wzburzony niewymownie, mówił głośno sam do siebie:

— Prawda!... to niepodobna!... nie!... nie mogłaby popełnić tak grubej pomyłki!... Niestety! aż

nadto dobrze wiedziała co czyni... Z jakąż szatańską rozmyślnością wybrała tę właśnie truciznę!... której skutki tak doskonale właśnie odtwarzały symptomata samejże choroby... jednoczyły się z nimi... i zwiększały stopniowo aż do śmierci!... Tak to potworna, najohydniej obmyślana zbrodnia!... i to przeciw tej łagodnej, anielskiej istocie...

Pochwili milczenia:

— O! jakże nikczemnie byłem oszukiwany... A zwracając głowę ku Sabinie, dodał: — Powiedz że mi przynajmniej, że mąż jej jest twoim wspólnikiem... że on to popchnął do tak haniebnej zbrodni!...

— Nie — odpowiedziała — on nie wie o niczem... Ale ja go kocham i wiem, że jestem kochana wzajemnie.. Cóż mam powiedzieć więcej?...

Po kilku chwilach niemego przygnębienia, doktor rzekł stanowczo, choć bardzo zmienionym głosem:

— Słuchaj, nie znasz mnie i krzywdzisz jeźli liczysz na występną pobłażliwość moją... od tej chwili obowiązkiem jest moim oddać cię w ręce sprawiedliwości i nie zawaham się... i spełnię straszny ten obowiązek.

— Dobrze pierw jednak zastanów się nad tem, mój wuju—odrzekła zimno Sabina, stojąc naprzeciw opiekuna z drugiej strony stołu. — Jeźli wydasz mnie sądom, jeźli rozradujesz świat podobnym procesem, czyż nie odgadujesz co świat ten powie? Oto powie, że jest to następstwem wychowania i edukacyi, jaką dałeś swej wychowanicy i będzie miał słuszność!

— Wychowania jakie ci dałem! Ah! nędznico! czyż kiedykolwiek wpajałem w ciebie inne zasady nad te jakiemi sam się rządziłem. Czyż tak słowem jak całem postępowaniem mojem, nie dawałem ci zawsze przykładu prawości, sprawiedliwości, ludzkości i honoru?...

— Doprawdy, zadziwiasz mnie, mój wuju. Czyż podobna, aby umysł tak potężny jak twój, nigdy nie zastanowił się nad tem, że tak z doktryn twoich jakoteż i wspólnych badań naszych, mogłam wyciągnąć zupełnie sprzeczne z twojemi następstwa i skutki?... Drzewo wiedzy i nauki nie na każdym gruncie jednakie wydaje owoce... Mówisz mi o sprawiedliwości, prawości, ludzkości, honorze... i dziwisz się, że też same teorye które ciebie natchnęły temi cnotami na mnie nie oddziałały podobnie... A przecież przyczyna tego jest bardzo prosta... Wszak wiesz równie dobrze jak ja, że mniemane te cnoty nie są w rzeczywistości bynajmniej obowiązującemi, ale zależą wprost do naszej woli lub upodobania... jako będące tylko instynktami... przesądami narzuconemi nam przez przyrodę... potrzebującą ich dla zachowywania i postępu swego dzieła... Otóż cała rzecz, iż tobie podoba się poddawać tym instynktom... mnie zaś nie podoba się to wcale...

— Ależ nieszczęsna! czyż nie powtarzałem ci po tysiąc razy, że obowiązek, honor, szczęście nawet, zależą właśnie od poddania się tym prawom przyrodzonym, bozkim?

— Mówił mi to wuj i sam temu wierzysz, ja zaś mam zupełnie sprzeczne przekonania... Ja wierzę, że tak obowiązek jak honor nakazuje nam wyzwolić się z takiego służalstwa, zerwać więzy, któremi przyroda, czy Bóg jeźli chcesz, krępuje nas i uciska, aby wbrew woli naszej, zmuszać nas do pracy w jakimś nieznanym celu, nad jakiemś dziełem nic a nic nas nie obchodzącem... Tak mówiłeś mi i powtarzałeś stokrotnie, że uważasz sobie nietylko za obowiązek, ale za radość i szczęście, iż pracami i cnotami swemi możesz przyczyniać się kornie do jakiegoś tam wzniosłego i tajemniczego celu, do którego wszechwświat ma zmierzać... Ale, szczerze mówię, że podobne rozkosze są mi zupełnie obojętne i nie nęcą mnie bynajmniej... przysięgam, że ani myślę pozbawiać się, zmuszać i cierpieć całe życie, aby jakiejś tam przyszłej ludzkości zgotować szczęśliwość i udoskonalenie z którego korzystać i używać nie będą, rozkosze w których nie przyjmę udziału i raj do którego się nie dostanę!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

Zresztą spędzono ten dzień już smutnie. Lniski milczał jak zaklęty i wszystkim innym nie szła jakoś rozmowa. Boruta tylko od czasu do czasu szeptał do siebie:

— Ja zawżdy podejrzywałem starościnę. Ano, pokazuje się, że miałem racyą.

Wieczorem spodziewano się powrotu Bartka i jego bogdanki, z której Żaba pocichu się naśmiewał, a Boruta mu w tem dopomagał.

— Cóż dziwnego! kochają się, a stara Koszarska męczyła dziewkę aż strach — mówił — to też uciekła i wojować z nami będzie, żeby tylko nie nadto było tego wojowania, bo strasznie się mają do siebie.

Żwan był zamyślony. Jemu w głowie jeno tylko było, że ujrzy wkrótce kasztelankę i z niepokojem a biciem serca oczekiwał na powrót Bartka. A nuż komendant Krzepic odmówi wymiany? Cóż mu z tego przyjdzie, że Horna obwiesi jak psa wściekłego na pierwszej lepszej gałęzi? Straszna ta zemsta nie wróci mu kasztelanki, nie uwolni jej z więzów szwedzkich. Ale w takim razie, on pójdzie na Krzepice, choćby samotrzéć, choćby sam nawet, pójdzie i łeb sobie rozbije o mury więżące jego kochanie. Roił sobie najdziwaczniejsze nadzieje z tego uwolnienia kasztelanki. Ojciec, ten dumny kasztelan krakowski, pierwszy senator Rzeczypospolitej, poczuje się przecież do długu wdzięczności i odda mu rękę córki. Czemużby tego nie miał zrobić. Alboż to w Polsce szlachcic na zagrodzie, nie jest równy wojewodzie? A zresztą, jemu w tej chwili szło tylko o to, by kasztelankę obaczyć, by się ucieszyć jej widokiem, by spojrzéć w jej oczy czarne, wilgotne, cudowne... Tak dawno jej nie widział i serce mu do kochania tego tak skowyczy, jak pies na łańcuchu.

Chodził po izbie zadumany, nie zważając na poważne milczenie ukrytego w ciemnościach kąta Lniskiego, na gawędkę Boruty i Żaby. On miał przed oczami tylko obraz kasztelanki i drżał na myśl, że ją wkrótce obaczy, że się spotkają tu w tej chacie, wśród tego posępnego boru, którego szum wieczorny wtórzył swą melancholią i tęsknotą melancholijnym i tęsknym jego myślom. Na kominie rozpalono wielkie ognisko, ale drwa były mokre i więcej dymu niż ognia dawały. Słabe, czerwone światło tego ogniska, włóczyło się leniwie po ponurej postaci Lniskiego i po chodzącym po izbie Żwanie. Z dziedzińca, oprócz szumu boru, dochodził gwar obozowiska...

Ale wieczór zapadał szybko a Bartka z powrotem nie było. Powinien był już wrócić, mówiono sobie i dziwiono się temu.

— Mnie się widzi — prawił Boruta, gdy późno już było i noc czarna zalegała bór i obozowisko — że jutro nasz Horn dyndać będzie... Byle tylko te szelmy w Krzepicach nie zamęczyły Bartka. Szkoda aby było chłopa!

Lniski sądził, że stan rzeczy jest zły i nakazywał wielką czujność. Lękał się, by komendant krzepicki nie zechciał nocą napaść i mocą odebrać Horna, jak to w istocie myślał uczynić Szaniawski. Dlatego też ku Krzepicom wysunięto mocną konną placówkę pod wodzą Żaby. W ogóle niepokój był wielki, a Żwan chodził jak struty.

Koło północka jednak, Żaba przywiódł posła szwedzkiego z Krzepic, który donosił, że jutro świtaniem, komendant z kasztelanką stanie na rozstajnych drogach.

XII.

Żwan całą noc prawie nie spał, taki niepokój w nim budziła nadzieja blizkiego obaczenia się z kasztelanką. Kiedy Boruta chrapał w kącie, aż się ściany leśnictwa trzęsły, a Lniski spał cicho jak dziecię, niemniej przeto twardo, Żwan łaził z kąta w kąt i myślał. Bóg wie jeden, co tam w tę noc głuchą i posępną, w głębi puszczy leśnej, przebiegło myśli przez jego głowę i jakich jeszcze myśli! Niekiedy zrywała się w nim taka jakaś burza, żeby jeno rąbał i palił, w krwi się pławił i pożodze, niekiedy znowu śnił sielankę w cichym domku w Smolarzach przy boku ukochanej.

O świcie wyruszono na miejsce schadzki. Żwan chmurny i niespokojny, wziął ze sobą dziesięciu hajduków staróściny, jako ludzi dobranych i najlepiej się prezentujących. Boruta, strojny jak na bal, w bobrowym kołpaku na głowie z czaplem piórem, w karmazynowym kontuszu i delii sobolami podbitej, pojechał z nim także. Lniski został, a nawet krzywem okiem na tę wymianę patrzał i mruczał:

— Lepiej pono Horna obwiesić, zapłacić krwią za krew i rozpocząć przez to wojnę wytępienia, wojnę bez łaski dla nikogo. Kasztelanka ma ojca, potężnego pana i niech on dba o to, by ją z niewoli wydobyć. A nam co do tego? Nam Rzeczypospolitej bronić a nie dziewek.

Gadał to jednak cicho, na pół do siebie, żeby Żwan nie usłyszał. Gdy ten ostatni miał wyruszać, Lniski poszedł do obozu i przeglądał wojsko.

Nakoniec wyjechano. Poranek był ciepły choć pochmurny i mroczny. Niebo, pokryte chmurami, nie dozwalało przebić się słońcu i świat cały w tej okolicy leśnej wyglądał szaro, bezbarwnie, smutno. Żwan milcząc, postępował przodem, obok niego Boruta, od czasu do czasu poczynający rozmowę, za nimi w środku hajduków Horn, Szwed ponury, otulony w futro i bezbronny. Boruta, nie mogąc się dogadać ze Żwanem, który go zbywał półsłówkami i wpadał zaraz w swą melancholijną zadumę, zwrócił się do Horna, ale i Szwed gadał niechętnie, mroczny był i stękający.

Tak więc w milczeniu posuwano się naprzód. Dzień już był dobry, kiedy Żwan ze swym orszakiem stanął na wzgórzu, z którego wczoraj Bartek dostrzegł zbliżającą się karocę staróściny i za którem zaraz znajdowały się rozstajne drogi.

Przy drogach tych, pod krzyżem czarnym i omszałym stali już Szwedzi i czekali niecierpliwie na

ukazanie się Żwana. Ten, spostrzegłszy ich, zatrzymał nagle tak silnie konia, że ten spiął się i omal zadem nie zarył w ziemię. Żwan pochylił się, jakby go jakiś blask uderzył, zaczerwienił się cały, bo dostrzegł tam pod krzyżem kasztelankę. Tak, to była ona. Siedziała na siwojabłkowitym dzianecie, w długą, wiśniowego koloru suknię, w jupkę z białem futerkiem i w takiż kołpaczek na głowie ubrana. Obok niej stały dwie służebne, a dalej Szaniawski komendant, po polsku ubrany w kontuszu i czapce z czaplem piórem, w delii rysiami podbitej, na pysznym tureckim bachmacie. Bartek, nieco na stronie, stał otulony w opończę i prawił coś rycerzowi Litaworowi do ucha. Za nimi dziesięciu rajtarów szwedzkich, w wielkich kapeluszach z piórami, w krótkich polerowanych pancerzach, długich karwaszach, z bandoletami w rękach, wspartemi na łęku kulbak i podniesionemi do góry. Stali tak wszyscy w poważnem milczeniu, zapatrzeni przed siebie. Kiedy nakoniec Żwan ze swymi ukazał się na wzgórzu, między Szwedami zrobił się ruch, a kasztelanka zapuściła na śliczną twarzyczkę długą zasłonę.

Żwan po pierwszem wzruszeniu ocknął się i zwracając się do Boruty rzekł:

— Panie bracie, spraw wszystko jak należy, bo ja dali Bóg nie mogę. Ćmi mi się w oczach.

— Oto, co to znaczy kochanie! — zawołał na to Boruta — znam ja to panie bracie, znam! To tak jest, jakby kto nożem serce krajał.

Gdy tak gada, a tu od Szwedów sam komendant Szaniawski w szczupakach sadzi do nich. Delią jego wiatr miota a szabla mu dzwoni uderzając o strzemię. Więc i Boruta pognał ku niemu. Spotkali się na środku między dwoma orszakami, przytknęli ręce do czapek:

— Czołem!

— Czołem!

— Mości panie — rzecze Boruta — jam jest Rodrigus Boruta, cześnikowicz ziemi łukowskiej, a major partyi imcipana Żwana...

— Jam jest Klemens Szaniawski, komendant krzepicki, w zastępstwie generał-lejtnanta Horna.

— Bardzo mi przyjemnie, choć dziwno, że Polak i szlachcic w tak niecnotliwym momencie, jaki padł na Rzeczpospolitą, dowodzi Szwedami. Ale to do rzeczy nie należy...

— Tak, to do rzeczy nie należy!... — powtórzył Szaniawski.

— Mości panie, ułóżmy się o wymianę jeńców. Waszmość jaśnie wielmożną pannę kasztelankę Warszycką, jej służebne i naszych posłów przywiedziesz tu oto na to miejsce, ja zaś przywiodę imci pana Horna i wczorajszego waszego posła. Dobrze?

— Dobrze!

Zawrócili i cwałem pognali ku swoim. Tu Boruta, objaśniwszy bladego jak ściana Żwana, zabrał Horna i posła i ruszył znowu na miejsce zejścia, gdzie już czekał ze swymi Szaniawski. Wymiana szybko nastąpiła. Boruta i Szaniawski pokłonili się sobie i mieli już odjechać, gdy nagle Bartek się ozwie:

— Mości Szaniawski, a my?...

— Nie bój się, najdę ja ciebie — odrzekł Szaniawski.

— No, no, żebym ja cię jeno wprzódy nie nalazł.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY JERZEGO BRANDESA
O ROMANTYZMIE POLSKIM.

(Dokończenie.)

Przyszłość jest marzeniem wszystkich poetów polskich, z nią się łączy głęboka miłość ziemi ojczystej. Kraszewski powiedział:

„Czyż niebo w istocie jest dość pięknem, abyśmy w niem zapomnieli o kraju naszym, a może, u bram raju płynie źródło zapomnienia!"

W tych tak naiwnie pięknych wyrazach tkwi głębokie znaczenie. Bo czyż rzeczywiście nie jest zdumiewającą rzeczą, to przywiązanie każdego narodu do ziemi swojej, do języka swego. Każda jednostka gotowa jest walczyć, cierpieć, znosić prześladowanie, byleby narodowość i język żyły nawet wtedy, gdy ona żyć nie będzie. Wszyscy wierzą, że każda istota żyjąca na śmierć jest skazaną, a jednak dla narodu swego boją się zagłady. Tak samo pracujemy dla postępu cywilizacyi, która jest religią dla tych co się wyrzekli religii objawionej, wierząc także, że ziemia stanie się w przyszłości zlodowaciałą powierzchnią, na której żadna myśląca istota nie będzie mogła istnieć.

A jednak, chociaż rodzaj ludzki przeznaczony jest na zagładę, niemniej postęp cywilizacyi godny jest, abyśmy za niego walczyli. Wartość jego nie zależy na wieczystem trwaniu. Nie chodzi oto, aby symfonia była długą lub krótką, lecz o to, aby była piękną.

Jeżeli historya uczy nas, że wiele potężnych narodów zginęło, to zarazem dowodzi, że zginęły te tylko, które zwątpiły o sobie.

Indywidualność narodowa nie jest nigdy dotykalną rzeczywistością. To ideał, a ideał istnieje tylko o tyle, o ile w niego wierzymy i za rzeczywistość uważamy. Ideał nie jest urojeniem, dopóki go kochamy.

Największą postacią literatury odrodzenia jest Hamlet Szekspira i jest to zaraz najpierwszy filozoficzny dramat nowszych czasów. Występuje w nim typ człowieka nowoczesnego, bolesna walka ideału z otaczającym go światem i głęboka przepaść dzieląca siły od zamiaru.

Hamlet wywarł ogromny wpływ na literaturę naszego wieku, wiele rysów charakteru jego odnajdujemy w Fauście Getego, w Manfredzie Byrona, nawet w złośliwym, a tak fantastycznym umyśle Hejnego.

Całe pokolenie we Francyi, którego przedstawicielem jest Musset, żywo przypomina typ Hamleta. Przed wiekami można było powiedzieć „Hamlet, to młoda Anglia". W 1840 r. Freilligrath śpiewał: „Niemcy to Hamlet".

Za czasów Musseta Hamletem była Francya. Jest chwila w rozwoju romantyzmu polskiego, w której powiedzieć można, że Hamlet to Polska we wszystkiem, co ten typ ma nowoczesnego i wiecznie prawdziwego.

Wszyscy poeci polscy mają rysy przypominające księcia duńskiego, są wspaniałomyślni, szlachetnego rodu, skłonni zarazem do marzycielstwa i do czynu, czują oni jak Hamlet żar młodości i całą niemoc czynu.

Jak on, bywają wysyłani do odległych krajów, jak on ukrywają myśli swoje pod szatą alegoryi i porównań, jak on okrutni są dla swych Ofelii i opuszczają je w chwili, w której najwięcej są kochani. Odmienną, tylko cechę polską stanowi to, że nie myśl, ale poezya ich osłabia, stawia przeszkody na ich drodze. Polaków gubi siła wyobraźni, żyją bowiem nie licząc się z życiem.

Charakter Hamleta przedstawia bardzo wiele odmian: Hamlet marzyciel, badacz, sceptyk, człowiek działający nerwowo i któremu ta nerwowość działać przeszkadza, wreszcie Hamlet mściciel, który się przebiera, aby tem łatwiej zemstę swą dokonać. W Mickiewiczowskich postaciach: Konrada, Gustawa, Wallenroda, Robaka, wszystkie te rysy odnajdujemy rozwinięte. U Słowackiego natura Szekspirowskiego bohatera, gra jeszcze wybitniejszą rolę, tem większą, że jego własne położenie i działalność poetycka zbliżone do niej były. Uważał się on za przeciwnika i rywala Mickiewicza, walczy z nim, chce go prześcignąć, a jednak naśladuje go. Wrażliwa jego natura tem bardziej poddawała się obcym typom i wzorom.

Hrabia, Krasińskiego, z Nieboskiej Komedyi z wielu rysów przypomina także Hamleta, ma jego uczuciowość i siłę wyobraźni, żyje marzeniami, lubi monologi, jest obdarzony wielką delikatnością uczucia, a jednak zdolny popełnić okrucieństwo, zostaje wreszcie, jak Hamlet, ukarany obłąkaniem żony. Tylko, że walka wewnętrzna Hamleta polskiego jest potężniejsza i głębsza, on działa z własnego przekonania, a nie z zasady konserwatywnej i klerykalnej, on nie ma wiary, ma tylko pragnienie wiary. W skutek stosunków rodzinnych i położenia społecznego, Krasiński nie mógł być nigdy sobą, wrodzona jego oryginalność walczyła z nauką, którą wygłaszał i która miała wszelkie cechy wzniosłości, ale nie była nigdy młodą, dlatego też można nazwać Krasińskiego Hamletem zachowawcą, a Słowackiego Hamletem radykalnym.

Przeciwieństwem Hamleta jest w tragedyi Szekspira Fortinbrus, pierwiastek odmładzający, świeża siła, zmysł do realizmu. Poeci polscy są także po części Fortinbrasami, zwłaszcza Mickiewicz. Pełen on jest siły młodzieńczej, świeżej, zuchwałej, wrzącej, która z takim ogniem wybucha w nieśmiertelnym i nad wszystkie najdoskonalszym poemacie Farysie i w niezrównanej Odzie do młodości. Od uczuć pełnych zapału przechodzi Mickiewicz do męzkiej równowagi umysłu, która się tak świetnie objawia w Panu Tadeuszu i tem się zbliża do wielkich duchów większych i zdrowszych od Byrona, nawet od Szekspira, do Homera i Getego.

Wzniosłą dumą i szlachetnością umysłu wznosi się Krasiński po nad swój wiek, jego uparta niepodległość ducha, jego wzrok proroczy, przewidujący klęski narodu, wreszcie największe dzieło Nieboska Komedya uderza głębią geniuszu i zadziwia ze względu na wiek w którym poemat pisał, miał bowiem 21 lat.

Słowacki nie odznacza się ani zdrowiem duszy, ani niepodległością ducha, ale prawdziwym zapałem i siłą namiętności; liberalniejszy był pod względem religijnym od swych wielkich współzawodników, a śmielszy pod wpływem politycznym. Zamiłowany w okazałości, porównał Boga z Beniowskim, do ognistego pióra szyszaku. Obdarzony był przytem słowiańskim darem naśladownictwa, który się u niego anormalnie rozwinął. Czytając utwory Słowackiego, odnajdujemy w nich ciągle motywy Szekspira lub sytuacye zapożyczone z jego dramatów.

Słowacki mało obserwował życie i studyował ludzi, dlatego charaktery jego są na wpół prawdziwe, a na wpół wymarzone, za to język jest świetny, bogaty w tęczowe kolory, styl śmiały i wymowny, ale nie dość jasny i prosty.

Ze skrzydlatych duchów Polski, Mickiewicz, to orzeł który szerokością swych skrzydeł i śmiałością lotu, królem jest ptaków.

Krasiński to łabądź, nieskalanej białości i szlachetnej godności ruchów.

Słowacki jest pawiem, bo jak ten piórami, tak on bogactwem i świetnością swego pióra, wyróżnia się wśród grona poetów ówczesnych.

Największem arcydziełem poetyckiej literatury polskiej jest bezwątpienia Pan Tadeusz, to najcenniejszy klejnot narodowej spuścizny, to wielki brylant, którego oszlifowanie uczyniło wartość niezrównaną i którego nic uszkodzić nie potrafi. Wartość jego polega na tem, że pierwszy to raz Mickiewicz spróbował dać obraz rzeczywistości, wolny od spirytystycznych i fantastycznych idei, historyczny obraz świata, który jeszcze nie zginął we mgle przeszłości i na który patrzył rozumnemi, jasnemi oczami dziecka.

Pan Tadeusz wskazuje poezyi przyszłości drogę życia rzeczywistego i rozpoczyna epokę realizmu poetyckiego i to jest właśnie droga, którą powinni pójść poeci polscy, aby uniknąć konwencyonalizmu i być nietylko natchnionymi, ale i prawdziwymi.

Z konieczności przeszłość musiała długo zajmować poetów polskich, ale czas już szukać ideałów w teraźniejszości. Ideałem jest to, co kochamy i co w czyn wprowadzamy.

Doba romantyzmu minęła i literatura polska ma tylko jedną drogę, aby się stać nowoczesną, dodać objawy życia tegoczesnego, wszystkie jego fenomena, całe głębie uczuć i cierpień człowieka.

Zbytnie uczucie solidarności, nie dozwala jednostkom współczuwać z cierpieniami innych, rozumieć uczucia i pragnienia szerszych kół, zbadać życie ludzkie we wszystkich jego tajnikach, a tem samem wybić piętno oryginalności na literaturę swego narodu.

Brakowało także literaturze polskiej żywiołu komicznego, który tak jest niezbędny dla odtworzenia całej objętości i całego natężenia życia ludzkiego, uchroniłby on poetów polskich od zbytniej przesady w postaciach bohaterskich. Nawet humor tak piękny i szlachetny w Panu Tadeuszu nie budzi wrażenia komizmu, tem mniej wywołuje go Słowacki, chociaż naśladując Szekspira wprowadza do swych utworów postacie błaznów.

W postaci barona, finansisty włoskiego, w Nieboskiej Komedyi, Krasiński zdradza do komizmu zdolności, które jednak w dalszym ciągu nie rozwinął.

Bezcielesna miłość romantyzmu polskiego jest także jego ujemną stroną, gdyż kontrast istniejący pomiędzy dążnościami ducha, a pociągami ciała jest pierwiastkiem czysto ludzkim, a jako taki stanowi dopełnienie natury ludzkiej.

Mimo tych braków poezya polska zachwyca swojem bogactwem i rozległością, swoją powagą, jakiej równej nie ma w żadnej literaturze europejskiej, tak głęboką i wzniosłą patetycznością wielkich tragików Grecyi i Anglii; wreszcie najczystszym, wzniosłym entuzyazmem, nietylko artystycznym, ale wszechludzkim i który porywa nie jednostki, nie wyjątki, ale całe pokolenie poetów polskich. I gdyby jeszcze byli oni uznali, że miłość postawiona jako zasada czynu, tak dla jednostki, jak i dla narodu, nie wyłącza a nawet potrzebuje koniecznie rozumu, jako swego dopełnienia, wywarliby oni bardziej jeszcze dobroczynny wpływ na swój naród, wskazaliby bowiem jak mają walczyć z rzeczywistemi przeszkodami i trudnościami i jaką drogą postępować.

Romantyzm w literaturze przeszedł, już nie istnieje, ale jest romantyzm duchowy, który przetrwa wszystkie formy i wszystkie szkoły, który nawet w epoce realizmu zachowuje siłę swoją i wartość. Tym romantyzmem jest zdrowa egzaltacya, która jest nierozdzielną częścią każdego wznioślejszego uczucia. Formę entuzyazmu przybiera nietylko zachwyt nad przyrodą, ale i wszelkie uczucia: przyjaźni, miłości, solidarności łączącej nas z naszymi ziomkami, z ludzkością całą. I ten to właśnie entuzyazm objawił się w literaturze polskiej, więcej niż w każdej innej.

Wszyscy ludzie czujący żywiej, wszyscy, którzy nie sądzą jedynie z punktu rozumu, zwłaszcza poeci i poetyczne natury, do dziś dnia są romantykami. Określenie to jednak romantyków i nieromantyków w naszych czasach istnieć nie może, inne już pojęcia i kierunki dzielą ludzi na dwa stronnictwa tak w literaturze, jak w życiu politycznem. Jednem jest stronnictwo dążności idealnych, a zatem prawdziwie postępowe; drugie stronnictwo faktów dokonanych, prawdziwe stronnictwo zacofania, które jednak sobie wyobraża, że ciągle postępuje. Ulega ono złudzeniu optycznemu jakiego się często doznaje jadąc koleją. Gdy pociąg stoi, a drugi go mija, podróżnym znajdującym się w pierwszym zdaje się iż oni także jadą, a czasem nawet, że oni jadą, a tamten pociąg stoi. To samo powtarza się w świecie umysłowym.

Gdy pociąg dążności idealnych czyli prawdziwego postępu pędzi naprzód z lokomobilą ogniem buchającą, stronnictwu wstecznemu zdaje się, że i ono jest w ruchu i postępuje naprzód tylko w przeciwnym kierunku.

Złudzenie to jest tem niebezpieczniejsze, że złudzenie fizyczne ustaje, gdy drugi pociąg minie, a w tamtem drugi pociąg nie ma końca. To pociąg olbrzymi, bezgraniczny, niezmordowany, to wieczne dążenie ludzkości do wolności i prawdy coraz realniejszej i pojętej coraz idealniej, to zwycięzki, nieskończony pociąg cywilizacyi.

TEATR.

Romans paryzki, sztuka pięcioaktowa O. Feuilleta.

Sztuka ta przedstawiona w Teatrze Rozmaitości, jest przeróbką dość słabą z powieści pod tym samym wydanej tytułem. Feuillet dziś starzec przeszło siedmdziesięcioletni, odznaczył się szczególnym urokiem w kreśleniu niewieścich postaci, wymarzonych w bujnej jego wyobraźni.

Takim pozostał dotąd w powieści, a ostatnia p. t. *Umarła*, drukująca się obecnie w naszym Tygodniku, najlepszym tego dowodem. Tam główna bohaterka prawdziwie mistrzowsko nakreślona, pociąga zarówno prawdą jak cierpieniem. W utworach teatralnych zdaje się rozstawać z tą ideą przewodnią jakiej dotąd wiernym był wyznawcą. Zna on kobiety lepiej jak mężczyzn, ale zna je, jak sam twierdzi, z ich własnych zwierzeń, z tego co mu same powiedziały, co podsłuchał w salonach wielkiego świata.

Sztuka *Romans paryzki*, rozpoczyna się balem najwytworniejszego towarzystwa, przedmieścia Saint-Germain, wydanym przez Henryka de Targy i żonę jego Marcelinę. Jest-to para tylko co związkiem małżeńskim połączona, kochająca się i szczęśliwa ożywiającem je uczuciem. Wtem do upojonych rozkoszą życia, przysuwa się matka męża i oświadcza, że fortuna, której są posiadaczami, jest właściwie własnością pani de Chevrial, żony milionowego barona, bankiera. Naturalny bowiem ojciec pani de Chevrial, a przyjaciel ojca Henryka, majątek ten testamentem przekazał jej jako swej córce nieprawej, a że go w różnych spekulacyach ojciec Henryka stracił, co się dopiero po śmierci jego wydało, muszą więc całkowitem swem mieniem własnem, krzywdę wyrządzoną pani Chevrial wynagrodzić. Mąż jej baron odbiera należytość, a ratując zrujnowanego p. de Targy, daje mu posadę sekretarza z płacą 5,000 franków.

Henryk godzi się ze swoim losem, ciężka praca każe mu zapominać o ruinie a szczęście domowe starczy mu za wszystko.

Żona jego Marcelina idzie za przykładem danym przez męża, postanawia zatem poświęcić się pracy i z męztwem znosić spadłą na nich ruinę.

W trzecim akcie matka p. de Targy zajmuje się dawaniem lekcyi, syn jej Henryk pracą biurową, tylko Marcelina nie mogąc się zgodzić ze swem położeniem, wymagającem nadzwyczajnej we wszystkiem oszczędności, jakkolwiek z pogardą, odrzuca zaloty barona Chevrial, obiecującego wszystko co pieniądz dać może i pod pozorem zdobycia jako śpiewaczka operowa niezależnego stanowiska, ucieka do Ameryki z Włochem tenorem.

Marcelina więc upada, Henryk rozpacza, to zwraca na niego uwagę baronowej Chevrial, która męża nietylko nie kocha, ale gardzi nim za środki jakich użył do wzbogacenia się.

W akcie czwartym, podczas uczty wydanej przez barona na cześć baletniczki Róży, przychodzi wiadomość, że okręt którym odpłynęła Marcelina spalił się na morzu i utonął wraz z całą osadą. Baron wieść tę przyjmuje jak najobojętniej, z szyderstwem niejako i kiedy pije na cześć milionów, jakby za karę za okazany bezwstydny cynizm, pada i umiera bez ratunku.

Tak więc jak baronowa tak i Henryk są wolni, nic im nie przeszkadza do zawarcia małżeństwa i kiedy marząc o przyszłem szczęściu stroją je w urocze marzenia na nowo mającego się wskrzesić życia, nagle zjawia się... Marcelina i przekonawszy się o niechęci dla siebie męża, przejęta skruchą i żalem zażywa truciznę i umiera.

Wystawa całej sztuki bardzo starannie była dokonaną. Pan Rapacki w roli barona Chevrial wybornie przedstawił starego rozpustnika, właściwego paryzkiemu życiu. W scenie przy wznoszeniu toastu na cześć miliona i stopniowe opuszczenie go świadomości, wybornie przedstawione, wywarło na widzach silne wrażenie.

Pani Rakiewiczowa matkę Henryka, przedstawiła z właściwą powagą. Pan Prażmowski sumiennie wywiązał się ze swej roli, to samo i pan Grzywiński przedstawiający doktora.

Panna Marczelówna w roli Marceliny, bardzo umiejętnie złagodziła usterki w chwilach więcej dramatycznych, niewpadając w najmniejszą przesadę.

Pani Lüdowa była wyborną w roli Róży, ulubienicy barona Chevrial, a pani Ładnowska jako żona jego pełna prostoty i naturalności.

WIADOMOŚCI
z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Zima nie chce jakoś w tym roku rozstać się z Europą. Góry i doliny tyrolskie na nowo pokrył obfity śnieg, utrudniając znacznie komunikacyę. Towarzyszący śnieżycy mróz, zwarzył kwitnące już morele. W Anglii szalały również w ubiegłym tygodniu zawieje śnieżne. W Birmingham śnieg padał w piątek przez 6 godzin, a w miejscowościach położonych na Północy, panował mróz, jak w środku zimy.

— *Niedawno w sądzie kryminalnym*, sądzoną była sprawa, w zbyt ciemnym cieniu przedstawiająca świat nasz literacki i jego przedstawicieli. Skarżącą była pani Śnieżko-Zapolska, zarzucająca panu Świętochowskiemu, redaktorowi *Prawdy*, iż w artykule pomieszczonym w tymże Piśmie p. t. *Sztandar ze spódnicy*, autor rozbierając nowelle pani Śnieżko p. t. Akwarele, zwraca się często ze zjadliwą surowością do autorki zowiąc ją osobą romansową z rozkiełznaną wyobraźnuią, kapłanką miłości czyli wyrzutkiem społecznym, ścierką osłaniającą... reszty domówić przyzwoitość nie pozwala, że miłość w jej utworach to namiętność krwi i że obrazy miłości jakie jaskrawo w swych utworach przedstawia, to obrazowanie przeżytych przez autorkę namiętności.

Zarzut więc kapłaństwa miłości i czerpania ze swego życia treści do jaskrawych obrazów, to już nie dotyczą dzieła, nie są oceną krytyczną jego wartości, ale są zwrócone wprost do samej p. Śnieżko, jako osoby prywatnej, będącej po za szrankami szermierki literackiej. Że są ubliżającemi, każdy z łatwością osądzi, że zaś mężczyzna o coś podobnego posądzony nie rozgniewałby się, jak twierdził z uśmiechem szyderczym obrońca p. Świętochowskiego, to dowodu żadnego nie stanowi. Mężczyzna, jako uprawniony w swobodzie druzgocącej cześć kobiety, nie podniósłby zapewne skargi oburzenia, ale gdyby autorowi wprowadzającemu do swego opowiadania ostatnich szubrawców, szulerów, oszustów, złodziei jakich się policzkuje i za drzwi wyrzuca, oświadczono w krytyce publicznie, że są to obrazowania przeżytych przez autora namiętności, to postać rzeczy uległaby zupełnej zmianie.

Przypuszczać nawet należy, że lękanoby się coś podobnie ubliżającego wyrzec o mężczyźnie z obawy honorowej lub mniej hazardowej rozprawy. Z kobietą jednak można postępować bez obawy; kobieta nie wystąpi ani z rapirem, ani z dąbczakiem, ani z dłonią wymierzoną do uderzenia, zwłaszcza gdy jest za granicą kraju, przykutą do chlebodajnego stanowiska jako artystka.

Mimo tego skarga p. Śnieżko nie została uwzględnioną, w zarzutach nie uznano obrazy godności osobistej, a prasa peryodyczna z małym niezmiernie wyjątkiem, albo bezwarunkowo przyklasnęła wyrokowi, albo zachowała się obojętnie poprzestając na suchem sprawozdaniu z przebiegu całego procesu.

W sprawie tej nie idzie o ocenę literacką dziełka p. Śnieżko, zupełnie nam obojętną, ale o lekceważenie autorki jako kobiety, której w każdym razie wzgląd i grzeczność przynależą. Już samo zatytułowanie krytyki Sztandarem ze spódnicy, jest ubliżającem a cóż dopiero wnioski z przeglądu książki wyprowadzone. Trudnym i ciężkim jest żywot kobiety zmusonej zarobkować na własne utrzymanie, mamyż go jeszcze robić cięższym przez pychę zarozumiałości i lekceważenia? Pan Świętochowski podnosi wysoko swoją osobistość, postęp, naukę, cywilizacyą, niechże da pierwszy dowód, że ją posiada szacunkiem dla kobiet przynależnym.

W Ameryce najmniejsze ubliżenie czci kobiecej surowo jest karane, a dopuszczający się tego dostaje tytuł barbarzyńcy. Czyżby p. Świętochowski jako redaktor Prawdy, a p. Popławski jako autor krytyki, nie wiedzieli o tem?

— *W Nowej wsi* w powiecie Grójeckim, przez panią H. założony został sklep dla włościan z towarami codziennego użytku. Za przykładem tym w tej samej okolicy dwaj obywatele założyli podobne sklepy, jest więc nadzieja, że pomału przemysł ten nowy coraz pomyślniej rozwijać się będzie z wielkim pożytkiem całego kraju. W Czechach i na całym prawie zachodzie, nie ma prawie wioski aby w niej sklepu podobnego nie było.

— *W Indyi* cywilizacya coraz więcej rozprasza otaczające ją ciemności. Niedawno królowa angielska, pragnąc zachęcić kobiety indyjskie do poświęcania się medycynie w Kalkucie, Bombayu, Madrasie i Lahorze, ustanowiła złoty medal, którym corocznie ozdobioną zostanie jedna ze studentek najpilniejsza i najzdolniejsza.

— *Zarząd szwalni ubogich dziewcząt*, mieszczący się w gmachu po Dominikańskim w Warszawie, złożył sprawozdanie z działalności swej za rok zeszły, z którego dowiadujemy się, że przez rok ten uczęszczało do Szwalni dziewcząt 146, że dni instytutowych było 42,560, że dla najbiedniejszych pracownic wydano obiadów 17,032, że wreszcie ze składek opiekujących się Szwalnią było dochodu 624 rs., z darów jednorazowych 403 rs. i że oprócz tego otrzymano dary w naturze jak: masło, kaszę, cukier, kawę, herbatę i t. d. co wszystko razem uczyniło wpływu rs. 1835, wydano zaś rs. 1853.

— *W Kaliszu*, według Kaliszanina, powstał zamiar otworzenia fabryki haftów złotem, oraz innych wyrobów pracy kobiecej. Pani Z. radzi najprzód urządzenie wystawy wyrobów pracy kobiecej zarówno ze wsiów jak i miasteczek pobliskich, aby poznać dokładnie jej wartość i kierunek. Ma być także założony sklep z wyrobami wyłącznie kobiecemi.

— *Z Lublina* donoszą w Gazecie miejscowej, iż pięć panien z tego starego grodu, wyjeżdża do Paryża dla uczęszczania do uniwersytetu. Fundusz na to potrzebny bez wyjątku same zebrały własną pracą, a nawet jedna z nich zostawiła chorej matce znaczny fundusz na utrzymanie. Takie o własnych siłach, bez uciekania się do pomocy publicznej, kształcenie się nniwersyteckie, godne najwyższej pochwały. Pierwszy tego przykład dają kobiety, warto to w dziejach dni naszych zapisać na wieczną pamiątkę.

— *Pauperyzm studencki*. W „Revue Scientifique" umieszczony został ciekawy artykuł pod powyższym tytułem. Między innemi przedstawiają istotny interes dane dotyczące środków, przy pomocy których studenci różnych krajów zarabiają na chleb powszedni; okazuje się z nich, że najgodniejszy pod tym względem politowania jest student grecki.

W Grecyi naprzykład możliwy jest dyalog między panem a służącym:

— Słuchajno, mój drogi, zanieś mi ten list na pocztę!

— Zaraz, proszę łaski pana, tylko skończę ten rozdział Monteskiusza o władzy.

Usłyszawszy to „pan", ma prawo być zdumiony tą erudycyą nowego służącego. Pokazuje się, że ten ostatni jest studentem. Jakoż w Grecyi studenci bardzo często najmują się za lokajów i to za bardzo nizką zapłatę, kładą tylko za warunek, aby od 8 do 12 rano byli wolni od roboty, bo w tych godzinach odbywają się prelekcye w uniwersytecie. Wróciwszy student, zajmuje się już wszystkiem jak zwyczajny służący.

Kto wie jednak czy nie z gorszemi jeszcze objawami pauperyzmu studenckiego spotkać się można w Niemczech i w Austryi. W Berlinie pewien student podał prośbę do municypalności, aby dostać mógł posadę... stróża ulicznego do zamiatania ulic; prośba jego została uwzględniona. Z Wiednia wysłano raz studenta za włóczęgostwo i niemożność wykazania jakichkolwiek środków egzystencyi.

Z Węgier, Szlązka austryackiego, a potrosze i z Galicyi, co rok idzie do Wiednia do szkół wyższych, pewien procent synów włościan, kramarzy, drobnych urzędników i t. p. Rodzice posyłają ich w nadziei, że doczekają się z nich sławnych lekarzy, prawników, inżynierów i t. p. Chłopcy ci mają najczęściej bardzo mały zasób grosza i przybywszy do Wiednia, muszą odrazu myśléć „o czem" będą się kształcili. Najszczęśliwszym udaje się zaczepić o pocztę, telegraf, bank, jak to zresztą bywa i u nas w Polsce, choć co prawda nie trudno pojąć z jaką to dzieje się krzywdą dla zajęć naukowych. Ale to są najszczęśliwsi. Inni nie zdoławszy schwytać posady, sprzedają odpadki, to uprawiają muzykę wędrowną, śpiewają po piwiarniach, kawiarniach, na scenach ogródkowych i tak dalej; aniby się zliczyło tych profesyi tymczasowych. Nielepiej jest w Berlinie, Lipsku, Monachium i w ogóle w całych Niemczech.

— *Z życia wychodźców do Ameryki*. Przytaczamy ustęp z listu rodaczki naszej, przebywającej w Nowym-Yorku, rzucający charakterystyczne światło na położenie niektórych, nielicznych zapewne, wychodźców. „Przed kilku laty wyjechaliśmy z mężem do wsi South Beerd, w stanie Indiana, gdzie miałam być nauczycielką szkółki i organistą przy kościele parafialnym polskim. Zanim wybudowano ładny wcale domek, umyślnie dla nas, proboszcz, Żmudzin prawdziwy, którego zapomniałam nazwiska, wynalazł mieszkanie tymczasowe dla nas u pani Januszowskiej i jej drugiego już męża, *którego przytlukiwala*." „A cóż, proszę pani, trzeba tego osła kiedy niekiedy przytłuknąć" — mawiała mi często, kiedym widywała biedaka z zaczerwienionemi od płaczu oczami, biorącego swój różaniec, „by w chwale Pańskiej znaleźć ucieszenie". Owóż ta pani miała dom bardzo ładny, podłogi dywanami wysłane, we wszystkich pokojach, piękne meble i nie mogła sypiać na łóżku bezsprężyn. „A cóż, proszę pani, — powiadała — czego mam sobie żałować? Chociaż urodziłam się stróżówką, póki byłam w kraju, głód nieraz cierpiałam, a tutaj? Jesteśmy tutaj od dziesięciu lat tylko; mam dom ze sporym kawałkiem ogrodu, pierwszą ławkę w kościele, dwie suknie jedwabne i jedną aksamitną, a zechcę, to sprawię sobie zaraz dwie drugie bez uszczerbku dla dzieci ani dla siebie, mam bowiem w banku 850 dol., a co tydzień, chodząc prać, zarabiam z córką kilka dolarów, nielicząc, co mi płacą za moje trzy małe pokoiki na trzeciem piętrze *zielence* (nowoprzybyli parobcy z Polski). Oni biedacy nie znają tam, co to jest mięso, a tu mają mięso trzy razy na dzień. Pierwsza rzecz, kiedy oni zaczynają już przywykać do tego *hamerykeńskiego* życia, to dawaj im tylko kawy, mięsa i *cake*; chleba białego już i znać nie chcą. Chłopi polscy zwykle bogacą się tu prędko. Smutnem jest to tylko, że najczęściej poczynają od kłótni ze swymi księżmi, niezawsze mając racyę za sobą. „My płacimy księdzu i chcemy, żeby robił tak, jak się nam podoba." Katolicy irlandzcy patrzą też na nich z pogardą, traktują bowiem księży swoich z największem uszanowaniem."

— *Korporacya polska w Dorpacie*. W drugiem,

tańszem wydaniu Petersburgskich Wiedomosti, wychodzącem p. t. Russkaja Gazeta, znajdujemy artykuł p. A. Kalinowskiego, zatytułowany „Państwo w państwie, czyli obrazek gniazda baronów.” Mówi w nim autor między innemi o korporacyach studentów uniwersytetu w Dorpacie, o których miejscowy profesor Teichmalem powiedział niegdyś ministrowi wychowania publicznego Saburowowi, te słowa: „Korporacye są silniejsze od was i wy od nich, nie zaś one od was zależą.” Studenci Polacy mają tam również swoje stowarzyszenie, lecz bez chorągwi i służących za oznakę kolorów. Stowarzyszenie to powstało po dwuletniej walce z korporacyami niemieckiemi, niechcącemi zezwolić na powstawanie Towarzystw niezależnych od ich „konwentu”. „Obecnie, pisze p. Kalinowskij, korporacya polska, podobnie jak inne, ma własny lokal, piękną bibliotekę, czytelnię, Kasę Pomocy i t. d. Według opinii wszystkich profesorów, z którymi miałem sposobność rozmawiać w tej kwestyi, Polacy stanowią najpracowitszy i najuczciwszy żywioł w uniwersytecie.” Studenci Rossyanie nie należą do żadnych stowarzyszeń i nie posiadają swoich oddzielnych, punktów zebrań, skutkiem czego noszą miano „dzikich”.

Z dziedziny humorystycznej.

Protest przeciw Don-Juanowi. W operze madryckiej miał być w tych dniach przedstawiony „Don-Juan” z barytonem Sylvio w partyi tytułowej. W wigilię przedstawienia dyrekcya teatru otrzymała następujący protest zaopatrzony 300 tu podpisami. „My niżej podpisane, należące do najlepszego towarzystwa kobiety, oświadczamy niniejszem, że 65 letni, mały, brzydki Sylvio, jest nieprawdopodobnym, niemożliwym Don-Juanem, na którego zaopatrzone chočby w średnio dobrą lornetkę, uczęszczające do teatru kobiety, nie mogą pozwolić. Niechaj Sylvio śpiewa Rigoletta, Amonastra i tym podobne role, ale na takiego Don-Juana, my Hiszpanki pozwolić nie możemy.” Dyrekcya opery madryckiej poszukuje tedy obecnie dla wymagających mieszkanek Madrytu Don-Juana w sile wieku i z przyjemną powierzchownością.

* * *

Ciekawy proces. Pułkownik Maxwell-Heron zaskarżył panią Mercier-krawcowę. Przedmiotem sporu był rachunek, jaki mu pani Mercier za toaletę żony kazała zapłacić. Pułkownik z oburzeniem wskazał na cyfry, jak np. Za białą suknię atłasową 6,000, za suknię szafirową 3,600, za suknię batystową 1,600, za niebieską satynową 1,000, za czarną gazową 1,800, za przerobienie sukni na nowy fason 400, za dodatki 300 marek.

Pani Mercier odpowiedziała, że zakład jej nie jest zwykłą pracownią krawiecką, ale artystycznym. Że ona sama opłaca malarzom za szkice po 1,000 marek. Oburzony pułkownik nie mógł już wytrzymać.

— Jeśli to prawda, to niech tego malarza i panią wraz z jej kundmankami dyabli porwą.

Sędzia przysądził krawcowej żądaną sumę, nadmieniając, że kto w takich zakładach kupuje, musi także ponosić i znaczne ofiary próżności. Rzecz ta miała miejsce w Londynie.

* * *

Wesołe intermezzo. W teatrze w Chicago aktor grający Falstafa, dla zaokrąglenia swej chudej fizyognomii, użył kauczukowego sztucznego brzucha, napełnionego powietrzem. Naraz podczas gry brzuch pęka, daje się słyszéć pisk i syk i w oczach publiczności postać Falstafa zmienia się do niepoznania.

Z potężnej postawy przemienia się w chuderlawego człeczynę.

Możemy sobie wyobrazić, jaką wesołość wywołało to wśród widzów.

* * *

Szczur na operze. Teatr w Richemond (Wirginia), był przepełniony; publiczność słuchała znamaszczeniem aryi tenora, który zapewniał swoją kochankę, że tylko śmierć może go z nią rozdzielić, gdy nagle ogromny szczur wybiegając niewiadomo zkąd, wskoczył na scenę. Tenor pomimo że uzbrojony mieczem, ucieka, primadonna mdleje, a przerażony szczur skacze do orkiestry i pada na wielki bęben. Nieszczęśliwy dobosz wywija pałkami i rzuca popłoch na całą orkiestrę. Zamieszanie staje się ogólne, skrzypce, flety i wiolonczele padają na ziemię, a muzykanci wskakują na krzesła.

Szczur tymczasem przenosi się na parter, panie włażą na ławki, wiele z nich mdleje, a reszta dusi się przy drzwiach, szukając drogi do ucieczki. Publiczność z lóż i galeryi ginie z śmiechu, patrząc na tę nie do opisania komiczną scenę, a szczur coraz bardziej przestraszony, wyprawia fantastyczne skoki i byłby może wygonił wszystkich z parteru, gdyby nie pewien oficer, który wpadł na bohaterską myśl wyjęcia szabli, którą przeciął nieszczęśliwego szczura na dwoje.

* * *

Ciekawy powód do ucieczki z Paryża miał br. Bertreau, znany światowiec i *viveur*. Znikł on przed kilku tygodniami tak nagle ze stolicy nadsekwańskiej, że jego przyjaciele myśleli, iż uległ jakiemu wypadkowi. Tymczasem nadszedł w tych dniach z Kairu list od barona, treści następującej: „Uważałem za właściwe uciec z Paryża, gdyż małej Henryecie z baletu zachciało się tej wiosny wziąć udział w wyścigach. Kupowałem jej perły i dyamenty, wynająłem dla niej hotel i powóz, ale ponieważ mnie już nie stać na konie wyścigowe, a nie widziałem innego sposobu pozbycia się tej kosztownej miłości, przeto drapnąłem do Afryki”.

* * *

Filozofia świata finansowego.

Pod filarami giełdy rozmawia dwóch geszefciarzy.

— Co, ty go zowiesz twoim przyjacielem?

— A co to ma do tego, to tak samo jak się mówi słowo honoru, te dwa zwroty do niczego dziś nie zobowiązują.

* * *

Z podróży.

— Powracasz sąsiad z Paryża; ciekaw też jestem, czy sąsiad był w Luwrze?

— Bagatela, aż pięć godzin!

— Boże święty, aż tak długo! A przez cały ten czas oglądałeś sąsiad obrazy?

— Ale gdzież tam, szukałem wyjścia.

Z różnych stron.

* * *

Jedno z pism ogłasza, iż z początkiem kwartału znacznie rozszerzy dział nekrologi. Spodziewamy się, kończy poczciwy wydawca, iż szanowna publiczność przyjdzie z pomocą naszym usiłowaniom nadsyłając jak najliczniejsze ogłoszenia o śmierci krewnych.

* * *

Kuryery donoszą, że jakiś jegomość zakochał się w woltyżerce z cyrku Cinizellich; która koniecznie chciała, aby się z nią ożenił, bo inaczej nic z tego nie będzie. Jegomość jednak powiedział sobie: nie głupim! i sprzedawszy ojczystą wioskę, kupił woltyżerce cyrk w Odessie.

O to rozumiem!

Mądry pan nie dał się w sieć uwikłać. Na pewno jednak utrzymać można, że:

By za niego wyjść cyrkówka,
Miała pewno bzika,
Gdy i tak nasz mądry szlagon,
Grosze z nią przefiki!

Kolce.

* * *

Dobrze zastosowane przysłowie:

Reginko przyjmij me serce w dani,
Które uczuciem pała szalonem,
Bo ja cię kocham o piękna pani,
Jak martwe cielę ogonem.

Kuryer Świąteczny.

☛ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Апрѣля 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 17.

(Dokończenie.)

N. 15. Parasolik powozowy składany.

Pręciki parasolika zaledwie 27 cent. długie, pokryte są ponsową materyą, powleczoną takimż tiulem jedwabnym w rzucik; u góry tiul złożony we dwoje tworzy sutą rozetę wokoło czubka parasolika, zakończonego dużem kółkiem. Na lasce z drzewa naturalnego koloru dana bladoniebieska kokarda, narzucona ponsowym tiulem.

N. 1. Kapelusz żałobny zdobny perełkami.

N. 16—18. Kapelusz wiosenny i woalik.

Okrągły aksamitny kapelusz z rondkiem 4 cent. szerokiem, z przodu odwiniętem, ma boki główki opasane czarnym tiulem, haftowanym perełkami; z przodu nad rondem sfałdowany jest skos aksamitny, 18 c. szeroki. Pukle ułożone z wstążki serge 24 c. szerokiej, przedzielane drobnemi czarnemi piórkami. R. 17 przedstawia inną modną wstążkę $6^1/_2$ c. szeroką, w połowie repsową, w połowie grenadynową w rzucik, zakończoną pikotami. Ryc. 18 wskazuje półokrągły woalik ze szlakiem pasowanym, znowu powołany w użycie; liczy 88 c. długości a 24 cent. szarokości i ma tło zdobne sznelowym rzucikiem.

N. 19. Naszyjnik z perełek.

Odrobiony z żółtawych okrągłych, owalnych i podłużnych perełek, składa się z paska otaczającego szyję, pokrytego aksamitką, naszytą czterema rzędami okrągłych perełek, zapinanego z boku pod kokardą i z frendzli z przodu 10, z tyłu 3 c. szerokiej.

N. 20 i 32. Kapelusz słomkowy.

Szyty jest w oryginalny sposób z grubej piaskowej słomki, 2 c. szerokiej, łączonej z sobą wzdłuż w jednym ciągu na główkę 14 c. wysoką i rondko z przodu 9, z tyłu 1 cent. szerokie. Brakujące denko dodane jest z 15 c. szerokiego skosu bronzowego aksamitu, zmarszczonego odpowiednio, który podług r. 32 przechodzi z przodu przez główkę, opasuje ją wokoło, a z lewej strony przepięty jest pletnią słomkową. Przybranie stanowią 4 krótkie strusie piórka bronzowe, wysuwające się z pod aksamitnego denka i okrągła kokarda z piaskowej atłasowej wstążki 6 c. szerokiej.

N. 21. Parasolik garnirowany koronką.

Pokryty ciemno zielonym atłasem na różowej jedwabnej podszewce, ma brzegi ogarnirowane czterema rzędami jasnozielonej koronki, 6 c. szerokiej, zachodzącej brzegami na siebie. Laska pokryta jest w oryginalny sposób plecionym atłasam różowym i zielonym, u góry ujętym w okucie metalowe, 5 c. szerokie, przytrzymujące także ucho pluszowe do ujęcia parasolika.

N. 22. Parasolik en-tout-cas.

Materya jedwabna w paski ponsowe, granatowe i złoto żółte, pokrywa 52 c. długie pręciki parasolika, zakończone kulkami równie jak czubek górny. Laska zakończona rączką jest z drzewa wiśniowego. Pompony w trzech kolorach; na szerokiej srebrnej skówce można dać monogram.

N. 23—28. Ubrania spacerowe.

N. 23. Ubranie dla chłopczyka.

Obcisło zapięte skórzane kamasze, przytrzymują powyżej kolan krótkie majtki; bluza z boku zapinana do pasa, niżej opięta paskiem skórzanym. Okrycie stanowi peleryna z kapturkiem, krajana na wzór francuzkich wojskowych płaszczy; kepi francuzka. Całe ubranie może być z sukienka lub aksamitu; peleryna wymaga podszewki jedwabnej.

N. 24. Suknia z vêtement.

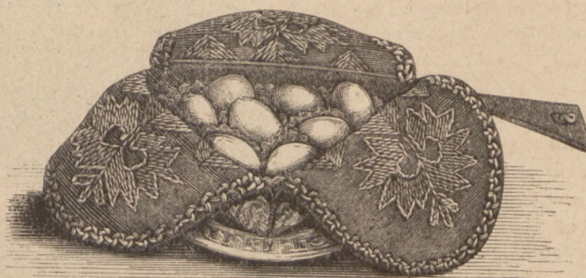
Najpraktyczniejsze i najzgrabniejsze ubranie spacerowe wiosenne stanowi vêtement na ciepłej podszewce. Model z materyału w pasy, miał przody krajane w skośnym kierunku i zapięte na bok; tylne podpinane bryty trzeba krajać znacznie dłużej. Przybranie i spódniczka plisowana, stębnowana kilkakrotnie u dołu, dane z gładkiego materyału.



N. 3. Haft do ryc. 4.



N. 2. Kapelusz żałobny krepowy.



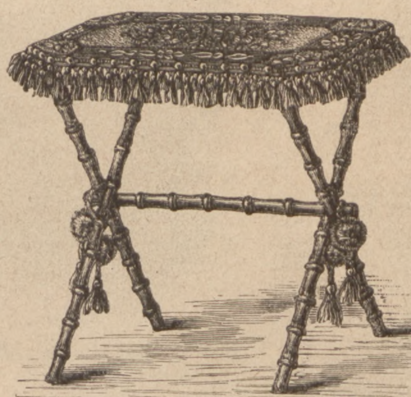
N. 4. Woreczek do jajek gotowanych, otwarty. Patrz ryc. 3, 5 i 13.



N. 6. Ubranko dyademowe z haftem stalowym. Patrz ryc. 5 w N. 16.

N. 5. Woreczek do jajek gotowanych, zamknięty. Patrz ryc. 3—4 i 13.

N. 7. Czepeczek à la paysanne, zdobny haftem stalowym. Patrz ryc. 5 w N. 16.



N. 8. Stoliczek z haftowanym blatem. Patrz ryc. 7—9 w N. 16.



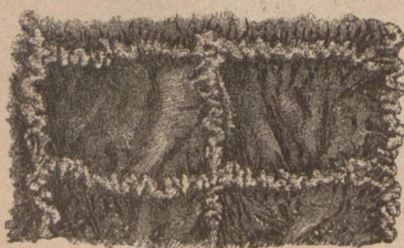
N. 9. Płaszczyk formą dolmanową.



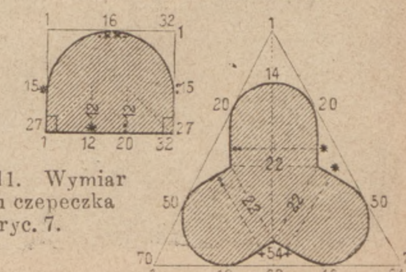
N. 10. Paletot z fałdami.



N. 12. Ekran z haftem gobelinowym.



N. 13. Kieszonki flanelowe na jajka do ryc. 4.



N. 11. Wymiar kroju czepeczka ryc. 7.

N. 14. Wymiar kroju do ryc. 4 i 5.



N. 15. Parasolik składany powozowy.
N. 16. Wstążka do przybrania kapeluszy.
N. 17. Kapelusz wiosenny.
N. 18. Woalik.

N. 25. Ubranie małej dziewczynki.

Paletocikowa sukienka wcięta z tyłu, ma wolne przody skośnie zapięte w górze na kryte haftki, u dołu złączone agrafką szmuklerską. Ranwers pluszowy z tyłu ma formę prosto sciętego kołnierza. Kapelusz przybrany wstążką i piórami.

N. 26. Płaszczyk formą dolmanową.

Odrobiony jest z bronzowego aksamitu i takiegoż koloru wełnianego deseniowego materyału, ma przody podwójne; zwierzchnie spadają w formie szalowych końcy. Wspaniałe przybranie stanowi kosztowna pasmanterya dana u dołu przodów szalowych, na wcięciu stanu, u rękawów i na ramionach; wokoło szyi riusza z materyi.

N. 27. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Zamiast materyi faille i aksamitu czarnego można użyć wełnianego materyału. Na spódnicy aksamitnej lekko podpiętej z tyłu, narzucone są bryty z materyi faille, do tyłu skracające się stopniowo, ułożone w kontrafałdy przedzielane drobno plisowanemi fałdami. Te ostatnie przepięte są sutemi kokardami z wstążki, podług r. 27. Odpowiednio do spódnicy i stanik łączy na sobie obydwa materyały; przody z materyi faille szeroko otwarte i nafałdowane, dopełnione są gładką aksamitną kamizelką; podszewka przodów zapina się na środku, wierzch zaś z boku przy kamizelce na kryte haftki. Długość przodów dopełnia baskina oddzielnie krajana z aksamitu; plecy i boczki krają się z materyi w jednym ciągu z fałdowanem karoczkiem. Rękawy mają również dodane w górze w zwierzchniej połowie kliny aksamitne. Kapelusz koronkowy otoczony spadającą marszczoną koronką, przybrany torsadą z perełek, kokardą aksamitną i różami.



Ubrania spacerowe.

N. 23. Ubranie dla chłopczyka. N. 24. Suknia z vêtement. N. 25. Ubranie małej dziewczynki. N. 26. Płaszczyk dolmanowy. N. 27. Suknia ze stanikiem z baskiną. N. 28. Suknia z kaftanikowym stanikiem.

N. 28. Suknia z kaftanikowym stanikiem.

Odrobiona jest z piaskowego wełnianego materyału i tegoż koloru moiré antique, obejmującej nakształt wstążki brzegi tuniki, upiętej z przodu w formie długiego fartucha. Z tyłu dane proste bryty lekko podpięte. Przody kaftanikowego stanika szeroko otwarte, zakończone wykładem morowym, odsłaniają takąż bufowaną kamizelkę, przyciśniętą u dołu fałdowanym bawetowym paskiem

N. 29. Suknia z gładką spódnicą à la paysanne. Patrz ryc. 17 w N. 16.

Spódnica z materyału wełnianego zielonego w paski, z przodu dana gładko, z tyłu ściśle namarszczona ma z boków szeroką podwójną kontrafałdę, z tyłu zaś (patrz ryc. 17 w N. 16) wazkie kliny z jasno popielatego aksamitu. Odpowiednio temu na krótkim staniku dane są bretelki aksamitne u dołu zakończone w pukle, z przodu między bretelkami dana fałdowana szmizetka z jasno popielatej materyi; takież mankiety i stojący kołnierzyk. Krawatka jedwabna.

N. 30. Suknia z podpinaną spódnicą à la paysanne.

Uszyta z czarnego kaszmiru ma przedni bryt w górze zręcznie ufałdowany w dolnej połowie dany gładko; boczne bryty są drobno plisowane, tylne zaś zmarszczone i lekko podpięte. Stanik bawetowy ma przody suto nafałdowane, przyciśnięte w górze gładkim aksamitnym plastronem; bufiaste rękawy w dolnej połowie zakończone obcisłym wysokim mankietem aksamitnym. Kołnierzyk stojący aksamitny.

N. 34. Ubranie z wyciętym stanikiem.

Odpowiednie na wieczór lub obiad proszony, wykończone jest z brocatu złoto żółtego w kolorowy deseń i z gładkiego żółtego atłasu. Spódnica podszewkowa ma u dołu bufę atłasową 10 cent. szeroką, na którą spada zwierzchnia spódnica z brocatu lekko przymarszczona w górze. Wysoko upięte tylne bryty sukni łączą się z przedniem upięciem à panier, idącem skośnie podług ryc. 34. Stanik wycięty bawetowy, sznurowany z tyłu, ma jedne przody gładkie, dane nakształt kaftanikowych, dopełnione deseniowemi przodami u góry sfałdowanemi poprzecznie i zakończonemi szeroką torsadą z perełek.

N. 35. Suknia ze stanikiem wyciętym kwadratowo.

Model sukni był z białej materyi ottoman; przedni bryt złożony w kontrafałdę 45 cent. szeroką, z boków zaś dane fałdy po 20 cent. szerokie. Przednia część draperyi wymaga bryta 100 cent. szerokiego, 82 długiego, w górze zmarszczonego, u dołu oszytego koronką 15 cent. szeroką. Prawy brzeg boczny sfałdowany do 22 cent., wpuszczony w boczny szew sukni, lewy brzeg zostawiony gładko ma dodany ranwers 90 cent. długi, 12 szeroki u dołu, ku górze zwężony, pokryty koronką. Taki sam ranwers zakończa lewy bryt draperyi 110 cent. długi, 45 szeroki, sfałdowany z jednego brzegu i w górze podług ryc. 34. Z tyłu dane proste podpięte bryty. Krótki stanik z przodu kwadratowo wycięty, ma przody otwarte na kamizelce krepowej plisowanej; brzegiem przodów dane marszczone ranwersy, sięgające do ramion. Girlandy z aksamitnych liści.

N. 39—40. Poduszka do poręczy krzesła, wyszyta ściegiem gobelinowym.

Wyszycie gobelinowe odrobione jest na kanwie niedzielonej, włóczką hamburgską i filozelą, koloru bronzowego, blado niebieskiego i oliwkowego; trzy ciemniejsze cienie



N. 31. Czepeczek z haftem stalowym. Patrz r. 7 i r. 5 w N. 16.



N. 32. Kapelusz słomkowy. Patrz ryc. 20.



N. 33. Uczesanie „Recamier.”



N. 19. Naszyjnik z perełek.
N. 20. Kapelusz słomkowy. Patrz ryc. 32.
N. 21. Parasolik z koronką.
N. 22. Parasolik en-tout-cas.



Ubrania domowe.

N. 29. Suknia z gładką spódnicą à la paysanne. N. 30. Suknia z podpiętą spódnicą à la paysanne.

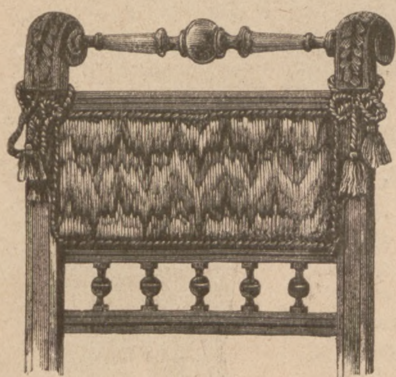


Ubrania wieczorowe lub na obiad proszony.

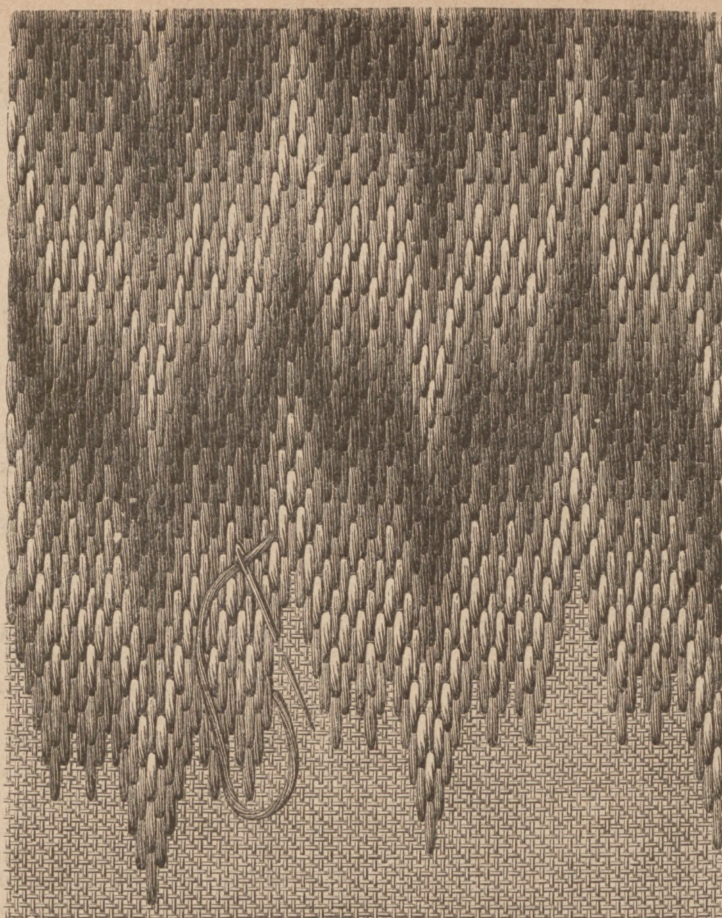
N. 34. Suknia z wyciętym stanikiem bawetowym. N. 35. Suknia ze stanikiem wyciętym kwadratowo.

dane włóczką, czwarty najjaśniejszy filozelą. Ryc. 40 wskazuje wyszycie ściegu gobelinowego, danego rzędami w zęby stopniowej wysokości; każdy ścieg zajmuje wzdłuż 6 nitek i przedzielany jest jeden od drugiego jedną nitką. Poduszka płasko wysłana oszywa się wokoło brzegów sznurem i przywiązuje do poręczy krzesła podług ryc. 39.

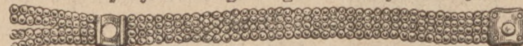
N. 36. Sposób zeszywania pasów. Ryc. 24 w N. 16.



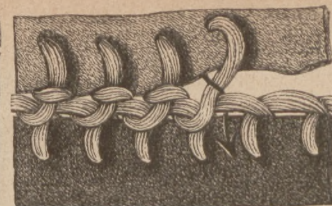
N. 39. Poduszka do poręczy krzesła. Patrz ryc. 40.



N. 40. Wyszycie ściegiem gobelinowym do ryc. 39.



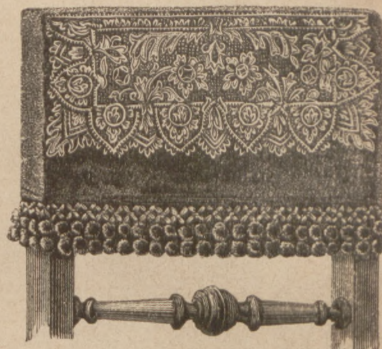
N. 38. Łańcuszek z perełek metalowych do zawieszenia parasolika.



N. 37. Sposób zeszywania pasów do ryc. 24 w N. 16.

N. 41—42. Przykrycie na poręcz do krzesła. Haft kolorowy.

Środkowy pas haftu odrobionego na szarem mocnem płótnie, podłożony jest 14 cent. szerokim pasem kanwowym, tkanym z nitek złotych i szarych, który efektownie odbija między deseniem. Kontury deseniu wyszywane są ściegiem dzierganym filozelą bronzową, dzieloną po 3 nitki i sznureczkiem złotym i miedzianym. Niektóre części deseniu, jak to ryc. 42 wskazuje, zapełnione są szenelą ponsową i blado zieloną, otaczane złotym sznureczkiem. Supełki rzucane gdzieniegdzie wyszyte są bronzowym jedwabiem.



N. 41. Przykrycie na poręcz do krzesła. Patrz ryc. 42.

N. 42. Haft kolorowy do ryc. 41.